

Odyseja syberyjska



TEKST I ZDJĘCIA JACEK PAŁKIEWICZ

Przygotowania do wyprawy trwały ponad rok. Musiałem uzgodnić trasę przejazdu i listę sprzętu. W Jakucku nadzorowałem szycie specjalnej odzieży, załatwiałem dzierżawę sanek i reniferów. Powodzenie wyprawy zależy też od właściwego doboru uczestników, musiałem zatem wybrać ludzi wytrzymałych psychicznie i fizycznie, wierzących we własne siły, gotowych sprostać wymaganiom stawianym przez jedno z najbardziej ekstremalnych środowisk na Ziemi. O wojskowych jednostkach specjalnych mówi się, że tworzą je ludzie o stabilnej i mocnej psychice. Znalazłem takich wśród byłych uczniów mojej szkoły przetrwania.

Nasza wyprawa ma także wymiar naukowy. Profesor Wasilij Aleksiejew z jakuckiego Instytutu Medycyny Dalekiej Północy, Syberyjskiego Oddziału Akademii Nauk Medycznych, szuka rozwiązań, które umożliwiłyby skrócenie okresu adaptacyjnego i uczyniłyby łatwiejszym życie w zimnym regionie. Nie ukrywa, że na przykładzie uczestników wyprawy, nawykłych do łagodnego klimatu Włochów, chce zgłębić temat granicy przystosowania organizmu do krańcowych obciążeń w warunkach długotrwałego zima. Do badań zaangażował nie tylko naukowców z dziedziny biologii człowieka, ale także fizjologów i psychiatrów.

Wyjeżdżamy z Jakucka w kawalkadzie złożonej z czterdziestu ośmiu reniferów,



OBOZOWISKO W czasie postoju nie wolno zdejmować przejętego od Eskimosów ubioru. Jest ciężki i kępuje ruchy, ale tylko taki sprawdza się w tym klimacie

zaprzęgniętych do dziewiętnastu san. Nieustannie towarzyszy nam tegi mróz, przemarzłe zasypy śnieżne i skrzące się w słońcu drobne kryształki lodu. Wokół dziewicza, niegościnna kraina, nieskażona obecnością człowieka, której majestat wypełnia wszechobecna, męcząca oczy biel. Skrajnie suche powietrze jest wyjątkowo wolne od zanieczyszczeń. Mam wrażenie, jakbym znalazł się na innej planecie, z dala od codziennej egzystencji. Do najbliższego skupiska ludzi jest kilkaset kilometrów, cztery razy mniej niż do koła podbiegunowego.

Puszysty obłok oparów spowija orszak zziębniętych reniferów, pędzących z gracją po-

śród lodowatej pustyni. Błada martwa tarcza słoneczna i wzgórze skąpane w różowej poświacie dopełniają malowniczy obraz. Rytm kopyt, skrzypienie płóz po śniegu i radosny głos dzwonek wprowadza w metafizyczny nastrój. Podobnie nieuchwytnego czaru nie oddał geniusz żadnego artysty malującego zimowe pejzaże.

Z zauroczenia wyrwa mnie polarny klimat. Skostniały i skulony na saniach czuję, jak chłód sięga szpiku kości. Codziennie intensywne zimno i zmęczenie wystawiają nas na bezlitosną próbę.

Gniewnie uderzająca purga, zamieć śnieżna, przysparza nowych problemów.

O takiej wyprawie marzyłem od dzieciństwa. Nęcił mnie niedostępny Ojmiakon, biegun zimna we wschodniej Syberii, gdzie zanotowano najniższą temperaturę na świecie, w miejscu stale zamieszkanym przez człowieka. Ta podróż to życiowe wyzwanie.



CHROŃ TWARZ Mróz poniżej 50 st. C uszkadza skórę już w 30 sekund



ŁOWY Ryby są cennym źródłem tłuszczu dla osłabionych podróżników

Naciągam głębiej futrzany kaptur, bo igielki lodowego pyłu smagają twarz, zamarzając na niej w szklistą skorupę. Termometr wskazuje „tylko” 50 stopni poniżej zera, ale według tabelki oziębnienia eolicznego silny wiatr, którego prędkość oceniam na 13-14 metrów na sekundę, nasila skutki działania mrozu, powodując takie ochłodzenie odkrytej części ciała, jakie następuje przy bezwietrznej pogodzie i temperaturze minus 94 stopni Celsjusza! Wtedy skóra może odmrozić się już w ciągu 30 sekund. W taką pogodę ludzie nie wyganiają z domu nawet psa. Instykt

nakazuje zmobilizować całą uwagę, aby uchronić się przed zamrożeniem.

W tym klimacie najważniejsze znaczenie ma odzież. Nasz tradycyjny ubiór, przejęty od Eskimosów i narodów Dalekiej Północy, jest wprawdzie ciężki i kępuje ruchy, ale za to ciepły i trwały. Nic nie potrafi zapewnić takiej skuteczności, nawet odzież wykorzystująca kosmiczną technologię czy nowoczesne ocieplacze, piankowe kombinezony narciarskie oraz różne szeroko reklamowane włókna termoizolujące.

Składamy pierwszą daninę. Dima, autochtonski hodowca reniferów, odmroził so-

bie nos, pierwszy raz w życiu. Ja też odczuwam skutki okrutnego mrozu. Zimno uszkodziło mi tkanki palców i straciłem czucie. Rozgrzewam biedne ręce i po półgodzinie koniuszki palców palą jak przypiekane ogniem. Ból nie do zniesienia to znak, że krew zaczyna krążyć w uszkodzonych tkankach i wszystko wraca do normy.

Raz jeszcze przypominam współtowarzyszom, aby wystrzegali się bezruchu, poruszali palcami rąk i nóg, rozcierali delikatnie uszy i nos, nieustannie robili grymasy, uprawiając w ruch mięśnie twarzy. Im później zastosuje się środki zapobiegawcze, tym dłużej przyjdzie odzyskiwać ciepło.



PEKAJĄCY LÓD Reny sploszone odgłosami kruszącej się tafli lodu nie chcą iść dalej. Trzeba szybko działać, by nie zostać na Syberii na zawsze

► Struchlałem. Jeszcze przed chwilą podziwiałem majestat tajgi, a teraz jestem w sidłach naledzi. Doszedł mnie złowieszczy trzask, zobaczyłem pękający lód i sploszone reny szamoczące się wśród odgłosów kruszącej się tafli lodowej. Sytuacja zdawała się krytyczna. Pół konwoju znalazło się w wodzie, podczas gdy słupek rtęci utknął poniżej minus 50 stopni Celsjusza. Lód szybko skuwa w żelaznym uścisku kłębowisko sań, uprząży i leżących bezwolnie w wodzie reniferów.

Musimy zachować trzeźwość umysłu, nasze przeżycie zależy od szybkości działania. Czas nagli, cenna jest każda minuta. Szybko rozcinamy uprząż i brodząc po kolana w brei lodowej z trudem wyciągamy na brzeg zwierzęta i sanie. Filcowe walonki zamieniają się w bloki lodu. Mróz paraliżuje, zeszywniałe mięśnie odmawiają posłuszeństwa. Jesteśmy u kresu sił, ale nie możemy się poddać. Wreszcie ostatkiem sił cały dobytek zostaje uratowany. Polecam rozpalić ognisko. Wyczerpani harówką zmieniamy obuwie i dolną odzież zastygłą w jeden sztywny pancerz.

Dzień później, kiedy zatrzymujemy się, aby rozruszać kości i się rozgrzać, zamknięty w sobie Roberto pozostaje na sankach. Ma sine wargi, bladą skórę i co raz wstrząsają nim gwałtowne dreszcze. Zachowuje się apatycznie i ospale, wygląda jakby był pijany. Odpowiada bez sensu na pytania. To hipotermia, ochłodzenie organizmu spowodowane długotrwałym oddziaływaniem zimna.

Temperatura ciała kolegi spadła do 30 stopni, dalsze obniżenie doprowadziłoby do zgonu. Rozbijamy obóz, a Graziano, pełniący funkcję sanitariusza, zajmuje się poszkodowanym. Podaje ciepłą słodką herbatę z termosu, po czym układa go na saniach w pozycji leżącej z podkurczonymi nogami, co powinno zapobiec dalszemu wychłodzeniu. Podkłada pod niego skóry i przykrywa z góry. Zdezorientowany i uwolniony od instynktu samozachowawczego Roberto mamrocze pod nosem, że nie mu nie jest i żeby go zostawić w spokoju. Jeśli zajdzie potrze-

ba, Dima skorzysta z doświadczeń miejscowych i poświęci renifera, aby w jego otwartym gorącym wnętrzu rozgrzać naszego szczęśnika.

Po miesiącu dobrnęliśmy do kresu podróży: osady Ojmiakon. Za nami tysiące kilometrów (1200 km) syberyjskich rubież. Futrzane czapki lecą ponad pomniki Poliusa Chłoda (minus 71,2 stopni Celsjusza), biegunem zimna. Wpadamy sobie w ramiona, mężnie stawiliśmy czoło przeciwnościom losu, pokonaliśmy nie tyko bezlitosną naturę, co samych siebie. Przejżyliśmy w krańcowo wrogich warunkach

chwile grozy, a i silnych emocji, mogących zmienić duszę człowieka.

Autor jest członkiem rzeczywistym Królewskiego

Towarzystwa Geograficznego w Londynie. Artykuł jest fragmentem książki „Syberia, wyprawa na biegun zimny” J. Pałkiewicza, przygotowanej do druku przez Zysk i S-ka

